

NIC PIZZOLATTO

TWÓRCA

TRUE DETECTIVE

GALVESTON

BEZ PRZESZŁOŚCI, BEZ PRZYSZŁOŚCI

NIC DO STRACENIA



Lekarz prześwietlił mi płuca. Szalała w nich zamieć śnieżna.

Wyszedłem z gabinetu do poczekalni pełnej ludzi, na ich twarzach widziałem ulgę, że nie są mną.

Już parę dni temu wiedziałem, że coś nie gra, bo kiedy przez dwa piętra goniłem po schodach jednego gościa, czułem się, jakby ktoś położył mi na piersiach sztangę. Od paru tygodni nie przestawałem chlać, ale to było coś innego. Ostry ból sprawił, że z wściekłości zламаłem koleśowi rękę. Później poszedł naskarżyć Stanowi, że jego zdaniem przesadziłem.

Ale to właśnie dlatego mam u niego robotę. Że przesadzam.

Powiedziałem Stanowi o tym kluciu, a on wysłał mnie do lekarza, który wisił mu jakieś czterdzieści kawałków.

Przed przychodnią wyjąłem fajki z kieszeni i zacząłem zgniatać paczkę, ale uznałem, że to jeszcze nie pora na rzucanie. Zapaliłem, ale papieros zupełnie mi nie smakował, myślałem o bawełnianych kłębkach w moich płucach.

Mijały mnie powoli samochody i autobusy, od ich szyb i karoserii odbijały się promienie słońca. W ciemnych okularach czułem się jak na dnie morza, pojazdy były rybami. Wyobraziłem sobie o wiele mroczniejsze, chłodniejsze miejsce, ryby zmieniły się w cienie.

Z rozmyślań wyrwał mnie dźwięk klaksonu. Podeszedłem do krawężnika i wezwałem taksówkę.

Przypomniałem sobie Loraine, dziewczynę, z którą kiedyś chodziłem, i pewną noc na plaży w Galveston, gdzie rozmawialiśmy aż do świtu i gapiliśmy się na białe smugi dymu z kominów odległej rannery, snujące po niebie niczym droga na słońce. Musiało minąć jakieś dziesięć, jedenaście lat. Chyba zawsze była dla mnie za młoda.

Gotowałem się ze złości jeszcze przed prześwietleniem, bo Carmen, panienska, o której sądziłem, że jest ze mną, zaczęła sypiać z moim szefem, Stanem Ptitkiem. Jechałem właśnie się z nim zobaczyć w jego knajpie. W sumie bez sensu. Ale nie przestaniesz być sobą tylko dlatego, że masz w płucach chmurę płatków mydlanych.

Choć nie ma szans, żeby wyjść z tego cało, zawsze chce się odroczyć termin. Nie zamierzałem mówić Stanowi, Angelowi ani Lou o swoich płucach. Żeby o tym nie gadali pod moją nieobecność, stojąc przy barze. Żeby się nie śmiali.

Usmarowana szyba taksówki, za nią zbliżające się centrum. Niektóre miejsca otwierają się przed ludźmi, ale nie Nowy Orlean. To miasto jest jak zatopione kowadło, otoczone własną atmosferą. Promienie słoneczne strzelały pomiędzy budynków i dębów, czułem na twarzy światło i cień, coś jak stroboskop. Pomyślałem o tyłku Carmen

i o tym jej uśmiechu rzucanym przez ramię. Wciąż o niej myślałem, co nie miało sensu, wiedziałem, że to zdzira bez serca. Zanim zaczęliśmy, była z Anzelem Medeiros. Odbiłem mu ją, powiedzmy. A teraz jest ze Stanem. Angelo również dla niego pracuje. Poczucie zniewagi ukoła myśl, że Carmen za plecami Stana puka się pewnie z paroma innymi kolesiami.

Starałem się wykombinować, komu mógłbym powiedzieć o płucach. Chciałem z kimś pogadać. Sami przyznajcie, że to dość gówniana wiadomość, zwłaszcza jeśli ma się coś do załatwienia.

Miejscówka Stana – tak nazywała się knajpa, ceglany budynek z blaszanym dachem, kratami w oknach i poobijanymi stalowymi drzwiami.

W środku czekali już Lou Theriot i Jay Meires oraz paru gości, których nie znałem, jakieś stare dziady. Barman miał na imię George. Do lewego ucha napchał sobie waty. Kiedy zapytałem go o Stana, wskazał głową schody prowadzące wzdłuż ściany do biura. Drzwi były zamknięte, usiadłem więc przy barze i zamówiłem piwo. Potem sobie przypomniałem, że przecież umieram, i zmieniłem zamówienie na niebieskiego walkera. Lou i Jay gadali o kłopotach z jednym bukmacherem. Wiedziałem, o co chodzi, po dwudziestce sam kilka lat dorabiałem w tym interesie i znałem tę gadkę. Gdy się zorientowali, że słucham, zamilkli i spojrzeli na mnie. Nie uśmiechnąłem się ani nic. Ściszyli głosy i pochylili głowy, żebym nie mógł słyszeć. Zawsze mieli mnie w nosie. Wiedzieli, że Carmen pracowała tu jako kelnerka, zanim spiknęła się ze Stanem, i myślę, że mają o to do mnie jakieś pretensje.

Nie lubili mnie również dlatego, że niezbyt się wpasowałem do ekipy. Stan dostał mnie w spadku po Samie Ginie, swoim byłym szefie, a Sam dostał mnie w spadku po Harperze Robicheaux, i to głównie moja wina, że ci goście nie potrafili mnie tak do końca zaakceptować. Cechowało ich makaroniarskie wyczucie stylu – dresy lub koszulki z podwiniętymi rękawami i przyлизane fryzury – a ja zwykle nosiłem czarne koszulki, dzinsy i kowbojskie buty, nie miałem też zamiaru golić brody ani przycinać dłuższych z tyłu włosów. Nazywam się Roy Cady, ale Gino kazał innym mówić na mnie Heston, na cześć Charltona Hestona z filmu *Biały Kanion*, i nadal to robią, ale bez uczucia. Pochodzę ze Złotego Trójkąta na wschodzie Teksasu, a ci goście mają mnie za prostaka, co mi pasuje, bo dzięki temu się mnie boją.

Nigdy nie ciągnęło mnie do wspinaczki po szczyblach korporacyjnej drabiny.

Ale zawsze układało mi się z Angelem. Przynajmniej do akcji z Carmen.

Nagle stanęła w drzwiach biura, poprawiając ubranie i odgarniając włosy. Na mój widok zamarła, ale tuż za nią pojawił się Stan, ruszyli więc razem na dół. On szedł za nią i poprawiał sobie koszulę. Schody skrzypiały. Zanim Carmen dotarła na parter, zdążyła odpalić papierosa. Podeszła do drugiego końca baru i zamówiła greyhounda.

Zastanawiałem się nad jakąś błyskotliwą uwagą, ale musiałem ją zatrzymać dla siebie.

Najbardziej wkurzało mnie to, że rozwalila moją samotność. Przez długi czas dawałem sobie radę bez nikogo.

Wiadomo, ruchałem, gdy zdarzyła się potrzeba, ale byłem całkiem sam.

A teraz jakby samotność przestała mi pasować.

Stan skinął głową Lou i Jayowi, a potem podszedł bliżej i powiedział, że ma dla mnie i Angela robotę na wieczór. Musiałem się mocno spiąć, żeby okazać entuzjazm. Stan miał typowo polskie grube brwi, coś jak klif rzucający długi cień na jego malutkie oczka. Podsunął mi skrawek papieru.

– Je rson Heights – oznajmił. – Odwiedźcie Franka Sienkiewicza.

Pamiętałem to nazwisko. Przewodniczący, były przewodniczący albo prawnik związku pracowników portu.

Ponoć władze federalne chciały poddać dokerów gruntownej kontroli, mówiło się, że mają być pokazowym celem. Związki utrzymywały się z przemytu różnych rzeczy dla partnerów Stana, ale to wszystko, co wiedziałem na ten temat.

– Tylko nikogo nie pokaleczcie – ostrzegł Stan. – Nie potrzebuję teraz zadymy.

Stał za mną i oparł mi dłoń na ramieniu. Nigdy niczego nie umiałem wyczytać z tych małych oczu ukrytych pod potężnymi nawisami brwi, ale sekret jego sukcesu krył się w twarzy pozbawionej litości – w szerokich słowiańskich kościach policzkowych i wąskich zaciśniętych ustach kozackiego jeźdźcy. Jeśli Ruscy faktycznie mieli ludzi zdolnych wepchnąć komuś rozżarzony pręt w kutasa, byli to bez wątpienia goście pokroju Stanisława Ptiki.

– Zależy mi na tym, żeby zrozumiał, co jest dobre – dodał. – Musi grać zespołowo. Tylko tyle.

– I nie poradzę sobie z tym bez Angela?

– Weźmiesz go ze sobą. Bo jestem ostrożny.

Wyjaśnił także, że zanim się spotkam z Angelem, mam odebrać kasę w Gretnie. Wskazał głową na szklanekę z wal-kerem w mojej dłoni.

– Więc trzymaj się planu.

Wychylił kieliszek wódki i pchnął barmanowi szkło po blacie. Wata w uchu George'a była poznaczona żółtymi plamami. Stan, nie patrząc na mnie, poprawił krawat.

– Bez spluw – powiedział.

– Słucham?

– Pamiętasz tego tiorowca w zeszłym roku? Nie chcę, żeby ktoś zebrał kulkę, bo komuś puściły nerwy. Dlatego mówię tobie i mówię Angelowi: broń zostaje. Nie chciałbym się dowiedzieć, że mieliście gnaty.

– Gość tam będzie?

– Będzie. Wysłałem mu prezent.

Poszedł, a po drodze zatrzymał się przy Carmen i mocno ją pocałował, ugniatając jej cycek. W mojej głowie pojawiło się kilka barbarzyńskich pomysłów. Kiedy zniknął za tylnymi drzwiami, znudzona dziewczyna skupiła się na papierosie. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego Stan nie pozwolił nam zabrać broni.

To było naprawdę dziwne.

Siedząca po drugiej stronie baru Carmen spojrzała na mnie spode łba, a Lou i Jay momentalnie zaczęli gadkę o tym, że odkąd ona i Stan są razem, Stan zrobił się bardzo wyluzowany. Uświadomiłem sobie, że to prawda: wszystko zaczęło się składać i w głębi serca poczułem nagłe ukłucie wstydu. Wychyliłem resztę whisky i poprosiłem o następną.

Carmen miała długie jasnobrązowe włosy spięte z tyłu, a na ślicznej twarzy grubą warstwę pudru maskującą pod-

niszczoną skórę, a także zmarszczki i bruzdy widoczne jedynie z bliska. Kojarzyła mi się z pustą szklanką po drinku, w której pozostały resztki cytryny i kawałki lodu.

Wydaje mi się, że faceci do niej lgnęli, bo potrafiła epatować cielesnością. Wystarczyło na nią spojrzeć, żeby mieć pewność: zgodzi się na wszystko. To seksowne, ale trudne do zniesienia.

Wiedziałem o niej takie rzeczy, o których Angelowi się nie śniło. Że lubiła wieloosobowe układy. Że pewnego razu zaproponowała zaproszenie do nas jeszcze jednej panienki dla podkręcenia atmosfery.

Nie do końca moja bajka. Dopiero teraz widzę, że mój romantyzm był trochę nie na miejscu.

Wydaje mi się, że zdrada dawała jej większego kopa niż seks. Tak jakby chciała sobie coś udowodnić.

Twierdziła, że kiedyś jej przytłoiłem, ale jej nie wierzę. Miała coś z aktorki i dramatyzowanie bywało ważniejsze od prawdy.

Chociaż muszę przyznać, że z tamtej nocy niewiele pamiętam.

Tymczasem siedzący przy barze Lou nawijał do niej:

– Doskonale wiesz, jak uszczęśliwić faceta.

– Nikt mi nie zarzuci, że się nie staram – przyznała Carmen.

Parsknęli śmiechem, a ja poczułem, że lufa gnata, którego noszę za paskiem spodni, zaczyna mnie parzyć. Ale nie miałbym z tego żadnej satysfakcji. Byłem po prostu wściekły i nie chciałem umierać tak, jak przepowiedział mi to lekarz.

Położyłem kilka banknotów na barze i wyszedłem. Parę dni temu zalałem się tu tequilą i musiałem zostawić samo-

chód. Wciąż tam stał, nienaruszony, potężny ford F-150 z 1984 roku. Minęły już trzy lata, ale model z tamtego rocznika bardziej mi pasował: przysadzisty, kanciasty, potężna maszyna, nie jakaś zabawka. Nie włączyłem radia i jadąc ekspresówką Pontchartrain, pozwalałem myślom swobodnie buzować w głowie.

Gretna. Na Franklin Street zastanawiałem się, kiedy ostatnio zrobiłem coś jak należy. Każdy promień słońca na przedniej szybie domagał się, by go docenić, ale nie miałem do tego głowy. Próbowałem sobie wyobrazić, jak będzie wyglądał stan nieistnienia, ale nie umiałem.

Dławiło mnie to samo poczucie beznadziei, które miałem w wieku dwunastu, trzynastu lat, gdy patrzyłem na niekończące się pola bawełny. Sierpniowe poranki, jutowy worek na ramieniu i gwizdek pana Beidle'a, który siedząc na koniu, kierował dziećmi z rodzinnego domu dziecka. Przykre wrażenie niekończącego się mozołu. Świadomość, że nie możesz wygrać. Po tygodniu zbierania bawełny dorobiłem się takich odcisków, że nie potrafiłem utrzymać widelca i straciłem czucie w palcach. Spojrzałem na swoje stwardniałe opuszki i zacisnąłem dłonie na kierownicy, czując kolejną falę gniewu. Oszukano mnie. Potem pomyślałem o Mary-Anne, mojej matce. Była słabą, sprytną kobietą, która celowo zachowywała się jak głupia. Nie chciałem teraz o niej myśleć.

Dotarłem pod adres podany przez Stana: rudera blisko magazynów, poszarzałe cegły, grządzi, trawa i wysokie chaszczki ciągnące się aż do opuszczonej sąsiedniej działki. Rdzewiejące graty na parkingu. Woń paliwa i nagranych śmieci, która spowija Nowy Orlean.

Mieszkanie numer dwanaście. Pierwsze piętro. Ned Skinner.

Minąłem jego drzwi i zajrzałem przez okno w korytarzu. Wewnątrz panowały ciemności, nie dostrzegłem żadnego ruchu. Wsunąłem dłoń do kieszeni, w której trzymałem kasetę, i siedłem dalej zewnętrzną klatką schodową. Zszedłem na dół, okrążyłem budynek i spojrzałem w okna jego mieszkania. Wiatr kołysał wybujałymi chwastami.

Wróciłem pod drzwi i zapukałem. Cały dom sprawiał wrażenie opuszczonego: pozamykane okna, żadnych dźwięków z radia czy telewizorów. Poczekąłem jeszcze chwilę, rozejrzałem się, a potem podważyłem zamek ostrzem scyzoryka. Cienkie drewno poddało się bez trudu.

Wśliznąłem się do środka i zamknąłem za sobą drzwi. Małe mieszkanie z kilkoma meblami, wszędzie stopy śmieci: gazety i programy gonitw, opakowania po żarciu na wynos, telewizor z pokrętem i popękany ekranem. Butelki po drogiej wódce zagracały cały blat. Zawsze nienawidziłem ejtuchów.

Mieszkanie cuchnęło zastałym potem i ludzkimi wydzielinami. W łazience pleśń i brud, sztywne ciuchy na kafelkach. W sypialni materac na podłodze i skotłowane poźółkłe prześcieradła. Pogniecione kupony wyścigowe zaścielały wykładzinę niczym cięte kwiaty.

Tuż przy łóżku przewrócona ramka z fotografią. Podniosłem: kobieta o kasztanowych włosach i chłopiec, oboje nawet uroczy, uśmiechnięci i pełni entuzjazmu. Zdjęcie musiano zrobić parę lat temu – wskazywały na to ubiór kobiety oraz jej fryzura, a także niespotykana ostatnio grubość papieru fotograficznego i jego faktura. Kolory wyblak-

ły z upływem czasu. Przeszedłem do salonu, zrzuciłem z krzesła pudełko po pizzy i usiadłem. Spojrzałem na zdjęcie, potem na mieszkanie. Mieszkałem w takich miejscach.

Analizowałem uśmiechnięte twarze na fotogra i.

Coś mi wtedy zaświtało, przeczucie, strzępek wiedzy, ale nie potra łem tego uchwycić. Coś, co kiedyś znałem albo czułem, wspomnienie, które nie chciało wypłynąć na światło dzienne. Wciąż próbowałem je złapać, ale nic z tego.

Chociaż było blisko.

Światło wpadające przez żaluzje rzucało na mnie wzór w staromodne więzienne paski. Długo jeszcze czekałem na krzesło, ale nikt się nie pojawił. Biorąc pod uwagę wszystko, co wydarzyło się później, jestem skłonny uważać, że oczekiwanie w jego mieszkaniu stanowiło punkt zwrotny zarówno dla mnie, jak i dla niego.

W tej chwili sprawy mogły się potoczyć inaczej.

Spotkałem się z Angelem o ósmej wieczorem w Błękitnej Szkapie przy Tchoupitoulas. Kręcili się tu głównie motocykliści i wolałem tę spelunę od lokalu Stana.

Najpierw zajrzałem do swojej przyczepy. Może to kwestia paranoi, ale ciągle myślałem o tym, dlaczego Stan zabronił brać spluwy. Po co o tym w ogóle wspominał, skoro jestem zawodowcem, nie cynglem? I do czego był mi potrzebny Angelo? Zaczynałem podejrzewać, że próbują mnie w coś zrobić. Może chcą mi odpłacić za coś, co zrobiłem Carmen. Jakby uwierzyli, że ją walnąłem. Albo po prostu zależy im, żebym się przy niej nie kręcił. Czy coś tam.

W każdym razie nie podobało mi się to. Postanowiłem słuchać instynktu. Zgarnąłem kastet, pałkę teleskopową, a do buta wsunąłem colta mustanga 380. Dodatkowo do przedramienia przymocowałem wysuwane ostrze. Nie używałem go od lat, naoliwiłem więc sprężynę wd-40, a kiedy włożyłem marynarkę i przekręciłem nadgarstek, ostrze wskoczyło mi w dłoń niczym lodowata błyskawica.

Angelo mnie zaskoczył, gdy spotkałem go przy barze. Odwrócił się na stołku i wyciągnął rękę na powitanie. Miał zmęczony i przygnębiony wyraz twarzy. Uścisnąłem mu dłoń, uważając, by nie przekreślić nadgarstka.

– Gotowy? – spytałem.

– Daj dopić. – Sięgnął po szklankę stojącą na barze i siorbnął. Jego wysoko zaczesana i przerzedzona grzywka zaczynała się dość daleko za czołem, a czarny dres był równie niedopasowany do tego miejsca, jak ja do lokalu Stana. Usiadłem obok i zagapiłem się na butelki.

Spojrzenie, jakim obrzucił mnie Angelo, nazwałbym wściekle smutnym, nie potrafił usiedzieć na miejscu, kolanom mu podrygiwało. Cały czas skubał skórki przy paznokciach. Wtedy do mnie dotarło.

– Kłopoty? – zapytałem.

– Wiesz o Stanie i Carmen? – odpowiedział pytaniem.

– Tak. Pewnie.

Spojrzał spode łba.

– Jebać to – stwierdziłem. Myśląc o raku, przyjrzałem się aszkom. – Podwójnego niebieskiego walkera.

Zapłaciłem cztery dychy. Ciepło spłynęło przez gardło i dotarło aż do piersi, poczułem w niej życie.

– Ona... – wymamrotał Angelo.

– Co?

– Jak ona... wiesz, ma zamiar... czemu? Znasz o nim te same historie co ja.

– Daj spokój, żadna z niej święta, taki typ. Zdzira.

– Nie mów tak. Nie chcę tak o niej rozmawiać.

– To przestań o niej gadać. Przynajmniej ze mną.

Kątem oka widziałem, że znów łypnął na mnie wściekle.

Faceci cenili sobie w Carmen również to, że była bystra albo przynajmniej cwana, i że znała ich sposób myślenia. Trudno ją uznać za głupią pindę. Obstawiam, że wielu gości myślało, że jest bardziej rozgarnięta od nich i to ich podniecało. Wychyliłem jednym haustem pozostałą połowę doskonałej whisky i odwróciłem się.

– Gotowy?

Przez chwilę miałem wrażenie, że mi huknie, ale tylko westchnął i zrezygnowany potrząsnął głową. Z trudem zwlekł się ze stołka, próbując utrzymać równowagę. Nie zdawałem sobie sprawy, że aż tak się nawalił, i trochę martwiło mnie spotkanie z tym Sienkiewiczem z Jeerson Heights.

– Ty kieruj – zdecydował Angelo.

Mój samochód zatrząsał się jak mokry pies, a głos z radia mówił o odebraniu święceń Jimowi Bakkerowi. Angelo opadł na fotel, jakby uszło z niego powietrze. Upewniłem się co do adresu i ruszyłem na północ, w stronę drogi numer 90.

Angelo wyłączył radio.

– Pamiętasz... – odezwał się nieco bełkotliwie. – Pamiętasz, jak parę lat temu dorwaliśmy te dilujące dzieciaki w Audubon Park?

Musiałem się przez chwilę zastanowić.

– Tak.

– I to, jak ten gówniarz się rozbeczał. Pamiętasz, znaczy, jeszcze nic im nie zrobiliśmy. Tak po prostu, normalnie łązy... – Angelo zachichotał.

– Pamiętam.

– „Błagam... Ja tylko chciałem zapłacić za szkołę”.

– Ta.

– A ty mu powiedziałeś: „To jest szkoła”. – Zamilkł na chwilę, prostując się na fotelu. – A pamiętasz torbę?

– O, tak.

Sprawa sprzed pięciu lat, chwilę wcześniej dołączyłem do ekipy Stana. Dzieciak miał w plecaku cztery tysiące dolarów i woreczki pełne koksu.

– Pamiętasz, co zrobiliśmy?

– Oddaliśmy Stanowi.

– Właśnie. – Spojrzał na mnie i splótł dłonie na kolanie.

– Na pewno myśleliśmy wtedy o tym samym. Żeby się podzielić. Nie mówić Stanowi.

Po przedniej szybie sunęły odbłaski świateł samochodów z naprzeciwka, a cichy, zmęczony głos Angela ledwie było słychać.

– Nie ufaliśmy sobie – ciągnął. – Chodziło nam to po głowie. Ale sobie nie ufaliśmy.

Spojrzałem na niego i wziąłem głęboki oddech.

– Do czego zmierzasz?

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Tak sobie myślałem. To znaczy, co właściwie osiągnąłem? Co ty osiągnąłeś? Mam czterdzieści trzy lata, stary.

Wyglądało na to, że potrzebuje teraz kumpla, ale źle wybrał. Zwłaszcza że ten spasiony makaroniarz nie znał właściwych słów, żeby wyrazić swoje uczucia.

On tu sobie jójczy, a mnie ktoś szykuje trumnę.

– A może byś się tak skupił na robocie? – zaproponowałem.

– Mhm.

Odwrócił głowę i zagapił się w okno. Wrzuciłem do odtwarzacza kasetę Billy’ego Joego Shavera, choć Angelo go nie cierpiał. Nie skomentował tego.

Czułem się trochę winny, bo w sumie miałem zamiar go dziś wystawić, ale to by było jak kopanie kaleki. Potrzebny jest dobry powód.

Zawsze ceniłem uczciwą grę.

Co oznacza, że jeśli twoje nazwisko tra ło na moją listę, na pewno coś przeskrobałeś. Postąpiłeś niewłaściwie.

Mniejsza z tym. Angelo gapił się w okno i wzdychał jak nastolatka, a ja rozkoszowałem się brzmieniem gitary dudniącej z głośników w drzwiach i wibrującej w moich plombach. Po chwili dotarliśmy na Newman Avenue. Wiktoriański gmach otoczony płotem z kutych, zaostrzonych prętów. Objechałem go parę razy, żeby zobaczyć, czy nikt nie pilnuje. Zaparkowałem przy Central, skąd mogliśmy się przekraść pomiędzy budynkami.

Sprawdziłem sprzęt i wepchnąłem do kieszeni narciarskie gogle. Angelo chciał od razu włożyć swoje, ale powstrzymałem go, mówiąc, żeby zaczekał, aż wejdziemy do środka. Wiedział o tym, ale zachowywał się tak, jakby nie potra ła zawiązać sobie butów, i miałem ochotę kazać mu poczekać w samochodzie. Nic by to jednak nie dało, więc w końcu obaj przemknęliśmy przez podwórka. Przy Newman paliła się tylko jedna latarnia, stała zresztą dość daleko od miejsca, do którego zmierzaliśmy. W budynku panowały ciemności, nie czekały żadne psy.

Powiedziałem, że zajdę od tyłu, podczas gdy Angelo zapuka od frontu.

Naciągnąłem gogle, złapałem się prętów i przeskoczyłem ogrodzenie. Na cichym podwórku, w oczku wodnym wyłożonym kamieniami, szumiała woda, dźwięk dziwnie uspokajający. Pokonałem kilka stopni dzielących od tylnych

drzwi i nie zdziwiło mnie, a powinno, że nie ma świateł reagujących na ruch. Podobnie jak to, że był to jedyny dom w okolicy pogrążony w całkowitych ciemnościach.

Ale się spieszyłem. Gdy stanąłem przed drzwiami i zacząłem nasłuchiwać, czułem smak whisky pod maską, a w płucach charczenie zagłuszające szum wody.

Czekałem. Słyszałem, jak Angelo dobija się od frontu. Wyobraziłem sobie, że ktoś w środku podchodzi do wejścia. Odsunąłem się i unosząc teleskopową pałkę, policzyłem do trzech. A potem załadowałem w drzwi z buta i wbiłem je do środka.

Z pałką nad głową wpadłem na ślepo w ciemność. Coś ciężkiego uderzyło mnie w głowę i czerń zamieniła się w czerwień.

Straciłem poczucie czasu.

Ocknąłem się, gdy ktoś rzucił mną o podłogę, łeb pękał z bólu. Ktoś zdjął mi maskę, naprzeciwko siedział Angelo. Miał zakrwawioną twarz i trzymał się za nos. Byliśmy w przedpokoju, oświetlał nas na musztardowo niewielki kinkiet, spod pomarańczowego szkła wydostawały się liche smugi światła. Czerwona tapeta. Stał przy mnie jakiś facet, przy Angelu również. Mieli na sobie czarne kombinezony i gogle, w dłoniach trzymali pistolety z tłumikami. Obaj w wojskowych butach i czarnych kamizelkach z powypychanymi kieszeniami. Prawdziwi zawodowcy. Lodowate spojrzenie, małe oczy, jak u Stana.

Usłyszeliśmy kroki. Facet obok Angela wyjrzał za róg. Wydawało mi się, że słyszę kobiecy szloch. W powietrzu unosił się zapach prochu i gówna. Rozejrzałem się.

W sąsiednim pokoju leżały zwłoki Sienkiewicza w zakrwawionej koszuli.

Znów usłyszałem łkanie i pomyślałem, że to Angelo, ale oczy oswoiły mi się z półmrokiem i w pokoju po lewej dostrzegłem dziewczynę na krześle. Widziałem na tyle dobrze, by zauważyć ściekający po policzkach makijaż. Jej skulonym ciałem wstrząsały dreszcze.

Zrozumiałem, co się dzieje i dlaczego Stan nie pozwolił nam wziąć broni. Zerknąłem na Angela, ale wyglądał na skołowanego, zażawionymi i pustymi oczami wgapiał się w krew na dłoni.

Kroki się zbliżały, zza rogu wyłonił się trzeci mężczyzna, dopinający rozporek. Trzymał pod pachą grubą teczkę z jakimiś papierami i nosił się jak tamci dwaj. Podciągnął gacie i wyjął spluwę zza paska.

– Podnieście ich – rozkazał z dziwacznym akcentem, który nie pochodził ani z Ameryki, ani z Europy.

– O co chodzi? – jęknął Angelo. – Kim jesteście?

Jeden z facetów zdzielił go kolbą w twarz. Angelo zasłonił usta i skulił się na podłodze.

Oddech dziewczyny na krześle stał się szybszy i ciężki, jakby się dławiła.

Mężczyzna szarpnął Angela za włosy, podnosząc go z podłogi, a ja poczułem tłumik przy skroni.

– Wstawaj.

Podniosłem się powoli, wciąż z lufą przyłożoną do głowy. Czuję, że opróżnili mi kieszenie, zniknął również gnac, którego schowałem do buta. Rzuciłem okiem na Angela. Stał w kałuży własnych szczyn. Ciasna przestrzeń i trzy spluwy, a my nieuzbrojeni.

Ludzie po prostu nie wychodzą cało z takich akcji.

Postawili Angela pod ścianą i zaczęli mierzyć odległość dzielącą go od ciała Sienkiewicza w sąsiednim pokoju. Domyśliłem się, że chcą tak zaaranżować sytuację, żeby wyglądało, jakbyśmy się wzajemnie wystrzelali, ale nie byłem pewien.

Ten obok puknął mnie gnatem w głowę i popchnął do przodu, a ja udałem, że się potykam, i przyklęknałem.

Kiedy się pochylił, żeby mnie podnieść, przekręciłem nadgarstek i wbiłem mu ostrze w szyję. Gorąca krew trysnęła mi na twarz i usta.

Jego towarzysze unieśli broń. Puściłem nóż i ukryłem się za upadającym ciałem. Pierwsza kula odłupała kawał tynku, druga zburzyła fryzurę Angela, który osunął się na kolana. Teraz obaj strzelali do mnie. Kule z głośnym „puf”, coś jak pneumatyczne bolce, wbijały się w trzeciego. Traenia wstrząsały jego ciałem, w gardle wciąż tkwiło ostrze.

Broń miałem pod nosem, za paskiem jego spodni była moja splota. Wyszarpnąłem ją i nie zważając na fontannę krwi, strzeliłem do tego najbliższego.

Nie celowałem, oślepiiony posoką tryskającą z przeciętej arterii, ale udało mi się go trafić w gardło. Mężczyzna zadrdzał, szarpnął za cyngiel i upadł na plecy.

Nigdy w życiu tak nie strzelałem.

A wtedy ten ostatni facet, ten, który przystrzygł Angela, zgarnął kulkę wystrzeloną przez upadającego kolegę. Spod pachy buchnął mu dym, gość się skulił i walnął plecami o ścianę. Broń spadła na podłogę.

Wtedy też, z tępym łoskotem, upadło na dywan ciało Angela.

Ostatni facet spojrział na swoją spluwę, na własną stopę, potem na mnie. Wpakowałem mu kulę w łeb.

Wszystko trwało może pięć sekund.

Korytarz wypełniał dym gęsty jak mgła. Górna część twarzy Angela odpadła, policzki miał mokre od krwi i łez. Zwymiotowałem. Dziewczyna na krześle płakała coraz głośniej, wyła.

Z trzech trupów ubranych na czarno unosiły się smużki dymu. Ostrze sterczące z szyi jednego z nich wyglądało jak wielki cierń, a pomarańczowe światło sprawiało, że krew przypominała farbę.

Dziewczyna w cieniu trzęsła się, patrząc na wszystko wytrzeszczonymi oczami. Minąłem ją.

Zobaczyłem światło w pokoju na tyłach mieszkania. Na łóżku, oświetlone zielonkawym blaskiem lampki nocnej, leżały zwłoki nagiej kobiety. Miała siniaki na szyi i udach, prześcieradła ociekały krwią. Była młoda, choć nie aż tak, jak dziewczyna na krześle.

Wróciłem do niej.

– Wstań – poprosiłem. – Nie zrobię ci krzywdy.

Nie ruszyła się. Nie spojrzała na mnie, nawet nie mrugnęła. Zostawiłem ją na chwilę i otarłem sobie krew z twarzy.

Zauważyłem teczkę i rozsypane na podłodze papiery, a na nich odłamki czaszki. Schyliłem się, pozbierałem papiery i ruszyłem do wyjścia, ale stanąłem. Dziewczyna wciąż się nie ruszała.

Nie mogłem jej tak zostawić. Widziała moją twarz. Wymierzyłem jej policzek i szarpnięciem za ramię podniosłem z krzesła.

- Wstawaj. Idziesz ze mną.
- Co chcesz zrobić? – wyjąkała.
- Musimy się wynosić.
- Dokąd?
- Nie wiem.

Po raz pierwszy przyjrzałem się jej twarzy. Dziewczyna była młodsza, niż mi się zdawało. Miała grubą warstwę makiijażu, za grubą, teraz wyglądało to jak rozmazany atrament. Jasne krótkie włosy. Buzia, nawet wypacykowana, wyglądała niemal dziecinnie, ale w jej spojrzeniu dało się uchwycić coś jeszcze, to samo, co czasem pojawiała się w oczach Carmen – historię trudnych decyzji podjętych, żeby przetrwać. Ale równie dobrze mogłem to sobie wymyślić.

– Chodź – powiedziałem. Widząc, że się nie rusza, przyłożyłem jej pistolet do twarzy.

Spojrzała na lufę, potem na mnie. W słabym blasku pomarańczowej żarówki nie rozpoznałbym, jaki jej oczy mają kolor. Rozejrzała się. Potem przykucnęła i pochyliła się nad ciałami. Grzebała w kieszeniach zabitych. Domyślałem się, że szuka pieniędzy lub czegoś, co jej zabrano. Wniosek z tego, że nie pomyliłem się w kwestii jej pragmatyzmu.

Cały czas czekałem na syreny. Podszedłem do okna i wyjrzałem, na ulicy panował zupełny spokój. Dziewczyna skończyła przeszukanie i wpakowała znalezione przedmioty do wielkiej torebki przyniesionej z sąsiedniego pokoju. Wyprostowała się i patrzyła na mnie z poważnym wyrazem twarzy.

– Vonda – odezwała się. – Moja przyjaciółka Vonda.

Poszła w stronę pokoju na końcu korytarza, ale złapałem ją za rękę. Pokręciłem głową.

– Nie chcesz jej oglądać.

– Ale...

Pociągnąłem ją ku tylnym drzwiom, potem na ulicę, gdzie kryliśmy się w cieniach, wciąż nasłuchując, czy od strony autostrady nie zbliżają się syreny. Wciąż czułem krew, która zasychała mi na policzkach, i proch. Zdjąłem koszulkę i mocno się nią wytarłem, wysmarkałem nos. Przemknęliśmy przez tonące w mroku, porośnięte drzewami podwórka, oddalając się od tego miejsca.

Po dotarciu do auta wepchnąłem dziewczynę do środka i uruchomiłem silnik. Śpiew Billy’ego, warkot motoru i inne dźwięki wywołały uśmiech na mojej twarzy. Pomyślałem, że gdybym wspomniał Stanowi o płucach, wszystko to mogłoby się nie zdarzyć. Mógł pozwolić naturze działać w swoim rytmie.

Przez chwilę siedziałem nieruchomo za kółkiem, szczerząc się od ucha do ucha. Musiałem tym nastraszyć dziewczynę, bo kuliała się pod oknem i gapiła w podłogę. Zjechałem z krawężnika i ruszyłem w kierunku autostrady.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że musiałem mieć jakieś inne powody, aby ją ze sobą zabrać, niż to, że widziała moją twarz. Co z tego? Umierałem. Mógłbym zgolić brodę i zmienić fryzurę. Przecież właśnie dlatego hodowałem długie włosy, żeby w razie wpadki obciąć się na jeża, pozbyć zarostu i zmienić wygląd.

Myślę, że przez moment tam, w korytarzu wypełnionym pomarańczowym światłem i dymem, gdy wciąż dzwoniło mi w uszach od huków strzałów i zaciskałem szczęki od adrenaliny, coś w twarzy tej dziewczyny, jakiś strach i żal, przypomniały mi o tamtym opuszczonym mieszkaniu, przynosząc to samo wrażenie, że o czymś zapomniana

łem, jakieś odbijające się echem intuicyjne wspomnienie, poczucie braku.

Tak czy inaczej, okazało się, że dziewczyna również pochodziła ze wschodniego Teksasu.

**WYBITNY CZARNY KRYMINAŁ SCENARZYSTY
I PRODUCENTA JEDNEGO Z NAJLEPSZYCH
SERIALI OSTATNICH LAT – DETEKTYWA.**

**HONOR, ZDRADA I MIŁOŚĆ KWITNĄCA
W ZAKAZANYCH MIEJSCACH. GRAZ ZEMSTA.**

Roy Cady, uzbrojony w metalową pałkę dwumetrowy brodac, postrach niesolidnych dłużników w Nowym Orleanie, nie lubiany, ale skuteczny. Radzi sobie doskonale. Do czasu.

Wiadomość o toczącej go śmiertelnej chorobie i pułapka, w którą wpada podczas rutynowej roboty, zmuszają go do zerwania z dotychczasowym życiem. Rozpoczyna się mordercza zabawa w kotka i myszkę, prowadząca przez obskurne zakątki amerykańskiego Południa, podejrzone speluny i zapuszczone motele, w których Cady oczekuje na spotkanie z tym, co nieuchronne.

Czy uda mu się ocaleć? Czy ochroni dziewczynę, której życie do czasu spotkania z nim było pasmem rozczarowań? Czy znajdzie w sobie dość sił, by pomimo choroby odkupić dawne grzechy?

www.marginesy.com.pl



9 788364 700200

cena 34,90 zł

PATRONAT
MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

www.portal-kryminalny.pl
**PORTAL
KRYMINALNY**